



LESZEK RYMAROWICZ

## W Jaworniku nad Czeremoszem na przełomie XIX i XX w.

### Opowieść o Hieroteju i Adolfinie Pihulak

Przed ponad dwudziestu laty, opisując w książeczce *Powroty w Czarnohorę* istniejące jeszcze wtedy Jezioro Szybene, nie mogłem sobie odmówić zacytowania krótkiego, wyczytanego gdzieś w przedwojennej ukraińskiej gazecie zdania: „W czasach galicyjskich przebywał tutaj przez wiele miesięcy słynny wówczas bukowiński poseł Piguliak, prowadząc w samotnej chatce życie anachorety”<sup>1</sup>. Wyobrażenia moja, a być może także wyobrażenia niektórych czytelników rysowała obraz jakiegoś sędziwego, wąsatego huculskiego gazdy z długimi, natartymi masłem włosami, który zostawszy posłem z Bukowiny (podobnie jak „po naszej stronie” gazdowie Łepkaluk czy Kołbasiuk), z jakichś, być może romantycznych powodów spędzał na tym galicyjskim odludziu długie miesiące. Siedząc oczywiście na przypiecku w huculskiej chacie, może oddając się postom i pustelniczemu umartwianiu się, a może prowadząc agitację narodową wśród pasterzy i prostego (podobnie jak on sam) rusińskiego ludu. No bo jakże inaczej wytłumaczyć sobie ową intrygującą wzmiankę?

Od tego czasu o mitycznym (przynajmniej dla mnie) Piguliaku/Pihulaku dowiedziałem się wiele. Przede wszystkim na imię miał Jerotej (w wersji spolszczonej Hierotej — imię najbardziej zbliżone do imienia Ireneusz). I jak się okazuje, nie miał nic wspólnego w moimi wyobrażeniami. Był to elegancki dżentelmen wykształcony w *Technische Universität Wien*, czerniowiecki profesor gimnazjalny, jeden z głównych animatorów rusińskiego/ukraińskiego odrodzenia na Bukowinie, przez 28 lat (!) poseł na sejm bukowiński, a przez 20 lat poseł do parlamentu we Wiedniu, przemawiający w trakcie specjalnej audyencji do samego cesarza Franciszka Józefa. A w Zelenem, Jaworniku, Hryniawie, Szykmanach, a szczególnie w chatce pod szczytem Czywczynya

---

<sup>1</sup> M. Olszański, L. Rymarowicz: *Powroty w Czarnohorę. Nie tylko przewodnik*, Pruszków 1993.



Hierotej Pihulak

i w domku nad klawzą Szybene spędził cały rok życia i kilkanaście swoich profesorsko-parlamentarnych wakacji. Na własnych nogach przemierzył wielokrotnie Czarnohorę, Góry Czywczyńskie i Połoniny Hryniawskie. I pozostawił po sobie dwie zupełnie zapomniane książki pod wspólnym tytułem *Werchowynski Zhadky* — wspomnienia z wędrówek po Czarnohorze i okolicy, zawierające wspaniałe opisy karpackiej przyrody i ludzi tam zamieszkujących. W Jaworniku nad Czeremoszem znalazł miłość swego życia, późniejszą żonę Adolfinę, a jak zaświadcza jego wspomnienia — właśnie w Czarnohorze zostawił swoje serce. To tutaj była jego „mała ojczyzna”.

Hierotej Pihulak zaprzyjaźniony był, a nawet skoligacony ze znanymi rodzinami żyjącymi wówczas nad Czeremoszami: Bensdorfami z Szybenego, Feierami z Uścierk i Hryniawy, Milcewiczami z Szykman i Kut, Kandelami z Jawornika. Powszechnie wiadano o romantycznym „paniczu”<sup>2</sup>, pośle z Bukowiny odwiedzającym huculskie chaty, a nawet szalały na połoninach, przepięknie grającym na klasycznym flecie ludowe, ukraińskie melodie i za pomocą nieznanego jeszcze w górach wynalazku — wędki — z ogromną łatwością wyławiającym z górskich potoków najpiękniejsze czarnohorskie pstrągi. Opowieści o Pihulaku krążyły także w „połonińskim świetle”, wśród Huculów. Kto wie, może to właśnie jego postać pojawiająca się w różnych miejscach Huculszczyzny przyczyniła się do utrzymywania się wśród miejscowych przekonania, iż arcyksiążę Rudolf (do którego Pihulak był w jakimś stopniu podobny) w rzeczywistości nie zginął w Mayerlingu, lecz wędruje wśród ludu i ujmuje się za krzywdzonymi...

Z racji swojej działalności politycznej, społecznej i publicystycznej znany był powszechnie wśród ukraińskiej inteligencji z Galicji i Bukowiny. Toteż co

<sup>2</sup> Starzy Huculi *paniczami* nazywali wszystkich ludzi „miejskich”, a w szczególności urzędników. Paniczami byli więc np. c.k. żandarmi przechadzający się dostojnie po górskich drogach, i to nawet ci w poważnym wieku.

i rusz wycieczki „z miasta” zmierzające w Czarnohorę składały przebywającemu tam latem Pihulakowi zarówno zapowiedziane, jak i niezapowiedziane wizyty. To pewne, że gdzieś tam w Burkucie, Uścierykach, Jaworowie czy Dołhopolu spotykał się ze śmietanką ukraińskich intelektualistów tego czasu: Iwanem Franką, Łesią Ukrainką, Wasylem Stefanikiem, Olgą Kobyłańską, Bohdanem Łepkim, Hnatem Chotkewyczem. A może także z należącymi do tej samej „socjalistycznej bandy” Polakami: Ignacym Daszyńskim czy Wacławem Moraczewskim. Można by pewnie dodać jeszcze do tego towarzystwa zaprzyjaźnioną ze Stefanikiem młodopolską malarzkę Anielę Pająkową, spędzającą wakacje u swojego brata Władysława w leśniczówce Czywczyn z Iwą, córką Stanisława Przybyszewskiego i Dagny Juel (późniejszą hrabiną Bennet-Dahlin-Westrup).<sup>3</sup>

Jakże to dziwne, że Hieroteja Pihulaka ta jego „mała ojczyzna” pomimo wielkich zasług zupełnie zapomniała! Na współczesnej Ukrainie, także w miejscowościach szczególnie z Pihulakiem związanych, o jego postaci i jego dziele nie słyszano literalnie nic! I paradoksalnie, obie książki Pihulaka, przechowywane w pojedynczych egzemplarzach w bibliotece Uniwersytetu w Czerniowcach i Bibliotece im. Stefanika we Lwowie, trafiły do obiegu na współczesnej Huculszczyźnie dopiero w 2014 r. *via*... Towarzystwo Karpackie, w związku z przygotowaniem niniejszego artykułu. A przecież to są najstarsze ukraińskie i jedno z najpiękniejszych opisów Czarnohory, kapitalne świadectwo epoki i po prostu kawałek pięknej literatury. W ukochanym przez Pihulaka Zelenem nad Czarnym Czeremoszem czy w mającej ambicje odgrywania roli centrum kultury, powiatowej Werchowynie aż do 2014 r. o bohaterze mojej opowieści nie słyszał nikt! Miejmy jednak nadzieję, że wspólnym wysiłkiem uda się przywrócić pamięć o Hieroteju Pihulaku, a może oznaczyć miejsca w górach związane z tą historyczną, ale także współczesną, łączącą Ukraińców, Rumunów, Austriako-Niemców, a także Polaków postacią. Konkretnie kroki ku temu zostały już poczynione.

---

<sup>3</sup> W tym samym czasie Dagny ginie w Tyflisie zastrzelona przez zakochanego do nieprzytomności Władysława Emeryka. A w tle tych wakacji przemyka Jan Kasprowicz porzucony przez żonę Jadwigę, która ucieka właśnie do Przybyszewskiego, tenże Kasprowicz ukrywający się przed lwowsko-krakowskimi plotkami i wstydem w zacisznych Zaleszczykach. I Boy-Zeleński, zaciągający się do k.u.k. Kriegsmarine, po to tylko, aby opłacić długi uwielbianego Przybyszewskiego i wkupić się w łaski Dagny — w której również jest beznadziejnie zakochany. I Wasyl Stefanik piszący relacje o ekscesach Przybyszewskiego na krakowskich ulicach i w kawiarniach, po czym wysyłający je na bieżąco do Anieli Pająkowej pod Czywczyn (list z Krakowa do Czywczyna szedł wówczas tylko pięć dni!). I młodopolska krakowska bohema spędzająca szampańskie święta w Delatynie. I mający w tymże Delatynie... teścia arcykrakowski wszak Stanisław Wyspiański.

## Krótką biografia Hieroteja Pihulaka

Urodził się 17 października 1851 r. w Mamajowcach (powiat Kocmań), w rodzinie diaka. Początkową edukację zdobywał w szkole przycerkiewnej, potem kontynuował naukę w gimnazjum w Czerniowcach i na Uniwersytecie Technicznym we Wiedniu, gdzie studiował chemię i nauki przyrodnicze. Już wtedy zaangażował się w działalność organizacji rusińskich, takich jak Akademickie Towarzystwo „Sicz”. Po ukończeniu studiów w 1875 r. wrócił do Czerniowiec, gdzie został profesorem gimnazjalnym<sup>4</sup>, a następnie uniwersyteckim. Jak sam pisał w autobiograficznym artykule prasowym<sup>5</sup>, w tamtym czasie cechowało go jeszcze nieuświadomienie polityczne. Wychowany na opowieściach ojca o Chmielnickim i chwale kozackiego oręża czy bizantyńskich koneksjach książąt ruskich, należał do ruchu starorusińskiego, z którego stopniowo dopiero przechodził do obozu narodowców, czyli „ukraińców”, aby w końcu stać się jednym z jego liderów i przedstawicieli.

Był współtwórcą i liderem pierwszych rusińskich organizacji na Bukowinie: Ruskiej Besidy (1884), Ruskiej Rady (1885), Ruskiego Domu Ludowego (1884). Walnie przyczynił się do budowy w Czerniowcach gmachu tej ostatniej organizacji (wzorowanego na czerniowieckim „Domu Polskim”), którego budowę *nota bene* do pewnego momentu wspierały także złote ruble Cara Wszechrusi. Działał także w Towarzystwie Prawosławnych Duchownych Bukowiny, walczącym z postępującą romanizacją cerkwi na Bukowinie. Rozwijał ruch siczowy, propagował tworzenie szkół i czytelni rusińskich. To głównie dzięki jego staraniom w roku 1896 w Czerniowcach uruchomiono pierwsze gimnazjum z klasami równoległymi w języku ukraińskim, gdzie w pierwszym tylko roczniku uczyło się więcej rusińskiej młodzieży niż przez poprzednie lata we wszystkich innych gimnazjach Bukowiny. Dla ukraińskiego ruchu narodowego był to podstawowy czynnik późniejszego narodowego przebudzenia. Był także jednym z fundatorów wzorowanej na kasach Reiffeisena pierwszej rusińskiej kasy kredytowej „Ruska Kasa”.

Wielką karierą polityczną Hieroteja Pihulaka związana jest z jego wyborem na posła Bukowińskiego Sejmu Krajowego w 1890 r. Zasiadał w nim — jak się rzekło — nieprzerwanie aż do roku 1918, czyli przez 28 lat. Był posłem z rodzinnego okręgu Kocmań. Działał też w organach władzy wykonawczej —

<sup>4</sup> H. Pihuljak: „Chemie in IV, V, und VI Naturgeschichtein II, a Freihandzeichnen in Ia Mitglied des Bukowiner Landtages, Custos des Chemischen Cabinetes” [w:] *Programm gr.or. Ober-Realsschule in Czerniowitz für das Schuljahr 1891/92*, Czernowitz 1892.

<sup>5</sup> H. Pihulak: „Awtobiograficzny narys”, *Bukowyna*, 4 lipca 1905.

jako członek bukowińskiego Wydziału Krajowego oraz Krajowej Rady Szkolnej. W 1898 r. został też posłem do parlamentu we Wiedniu i funkcję tę sprawował przez dwadzieścia kolejnych lat, aż do rozpadu imperium w 1918 r. Po wykrystalizowaniu się podstawowych opcji w ruchu rusińskim stał się liderem ruchu narodowców, prowadząc zaciętą walkę polityczną ze „starorusinami” oraz z frakcjami niemiecką i rumuńską. W 1906 r. poseł Pihulak przedstawiał problemy i oczekiwania Rusinów Bukowiny samemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi I, wskazując m.in. na niedoskonałość prawa wyborczego i konieczność zapewnienia w praktyce konstytucyjnej równości wszystkich narodów Austro-Węgier. W swoich poglądach był nieugięty, a w działaniach radykalny, stając się w jakimś stopniu trybunem ludowym Ukraińców na Bukowinie.

A że nasz bohater nie był typowym pachnącym naftaliną c.k. belfrem, ale postacią barwną i obdarzoną gorącym temperamentem, świadczyć mogą fragmenty kilku relacji prasowych jego dotyczących:

Wiedeń, 15.06.1910. (...) na ostatnim posiedzeniu parlamentu poseł bukowiński Rusin Pihulak nazwał posła Markowa szpiclem rosyjskim, rubłołapem. Markow odpowiedział, że Pihulak był również rubłołapem. Pihulak wykrzyknął: „denuncjant!”, wskutek czego Markow posłał Pihulakowi sekundantów...

Czerniowce. ...A kiedy jeszcze rozeszła się wiadomość, że na opróżnione stanowisko generalnego wikarego dyecezyi upatrzonym został także Rumun — postanowili Ukraińcy urządzać metropolicie, ks. drowi Repcie, masową demonstrację. Zwołali w tym celu przed tygodniem wiec ludowy do Czerniowiec. Posłowie ruscy, pp. Stocki, Pihulak, Lewicki i kokietujący z Ukraińcami Starorusin, Mikołaj Wasylko, sprowadzili z dalszych i bliższych sioł paruset ciemnych wieśniaków ruskich. Rozpoczęto go od uchwał dziękczynnych, a to dla cesarza, dla dra Koerbera i dla aranżerów wiecu, posłów wyżej wymienionych. Następnie powzięto szereg dorywczych rezolucyj, jak: za zniesieniem obszarów dworskich, za zmianą ustawy szkolnej, zniesieniem myt, poprawą bytu nauczycieli, za zaprowadzeniem w służbie zewnętrznej ruskiego języka urzędowego, a w końcu uchwalono rezolucję najważniejszą, a to żądanie, iżby wikarym generalnym gr. orientalnej dyecezyi bukowińskiej bezwarunkowo został mianowany Rusin. Dla poparcia tej ostatniej rezolucyj posłowie-aranżerowie na czele tłumu włościan udali się natychmiast do rezydencji metropolity dra Repty, który przyjął ich na dziedzińcu pałacu. Metropolita wysłuchał żalów na ucisk narodowy oraz żądania co do narodowości jener. wikarego i odpowiedział stanowczo, iż odmawia posłom i w ogóle ludziom świeckim ingerencji w zarząd osobisty konsystorza oraz że mógłby tylko wówczas wchodzić z delegatami w porozumienie, gdyby wykazali się kwalifikacją udzieloną im przez cesarza (w grecko-orientalnej cerkwi w Austrii cesarzowi przysługuje najwyższa władza). Odpowiedź nie zadowolila wiecowników, którzy też, zagrzani przez posła Pihulaka do wytrwania w walce o władzę duchowną, wśród okrzyków „Hańba” opuścili rezydencję metropolity<sup>6</sup>.

<sup>6</sup> *Nowa Reforma*, 17 lipca 1903.

Profesor Pihulak reprezentował środowisko rusińskie również w sferze kultury i nauki. Na przykład w 1894 r. w obecności rektora i senatu Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie przemawiał na Cmentarzu Łyczakowskim nad grobem profesora UJK Omelana Ogonowskiego, Członkami delegacji byli obok niego Aleksander Berwiński i Iwan Werhratski. Reprezentował Rusinów także w samym Kijowie, uczestnicząc w 1912 r. w uroczystościach pogrzebowych twórcy ukraińskiej opery, kompozytora Mykoły Łysenki.

W burzliwych latach pierwszej wojny światowej i kształtowania się na gruzach imperium habsburskiego państw narodowych Pihulak aktywnie działał na rzecz prawa do samostanowienia bukowińskich Ukraińców, zakładał Ukraiński Komitet Narodowy na Bukowinie i organizował tzw. Wiec Bukowiński (*Bukowińskie Wicze*). Popierał dążenie do włączenia Bukowiny w skład Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, był członkiem Rady Narodowej ZURL<sup>7</sup>. Po przyłączeniu Bukowiny do Królestwa Rumunii Hierotej Pihulak pomimo wieku i złego stanu zdrowia został aresztowany i odsunięty od wszystkich funkcji publicznych<sup>8</sup>. Wkrótce potem wybrał życie emigranta na terytorium Czecho-Słowacji, gdzie w sanatorium Pleš, w którym lekarzem była jego córka Natalia, zmarł w dniu 8 października 1924 r. w wieku 73 lat<sup>9</sup>. Miejsce jego pochówku jest nieznane.

Jakie były relacje bohatera mojej opowieści ze społecznością polską na Bukowinie, która stanowiła liczącą się siłę w tym wielonarodowym wówczas kraju? W latach zaangażowania Pihulaka w działalność publiczną na pewno dobre, a potem takie jak relacje polsko-ukraińskie w ogóle, czyli coraz bardziej skomplikowane. Ale warto sobie uświadomić, co być może nie jest takie oczywiste, że w zamieszkałej przez wiele narodów Bukowinie przez kilka dziesięcioleci głównym sojusznikiem rusińskich narodowców byli właśnie... Polacy, którzy tak samo jak oni starali się zwalczać ruch moskalofilski.

Warto również wiedzieć, że wpływowe polskie organizacje, a szczególnie redakcja czerniowieckiej „Gazety Polskiej” wspierały powstanie, a nawet

<sup>7</sup> *Swoboda*, 22 listopada 1934, nr 273, ss. 3–4.

<sup>8</sup> Ostatni okres życia Hieroteja Pihulaka w Czerniowcach przybliży krótkie wspomnienie Atanazego Rusnaka zamieszczone w czasopiśmie „Czas” z 10.03.1936: „Były nasz poseł Hieroteusz Pihulak, ten zahartowany w długiej walce politycznej i nieugięty trybun ludowy, w końcu dał się pokonać, a wręcz się załamał. Odbywszy «kwarantanną polityczną» w znanym wszystkim sanatorium niedaleko Teatru [chodzi o więzienie — przyp. LR], otrząsnąwszy się nieco i pożegnawszy z polityką, powrócił do swojej od zawsze ukochanej chemii (a przecież był profesorem chemii) i rozpoczął eksperymenty chemiczne, ale już nielegalnie i nieszczęśliwie (szczególnie dla swych lokatorów). Ta sprawa miała swój epilog w sądzie i to epilog niemiły, co wywarło na wielu naszych i obcych bardzo przykre wrażenie. Wkrótce wyjechał na obczyznę, gdzie i zmarł”.

<sup>9</sup> Czasopismo *Łastiwka*, październik 1937.

uczestniczyły w redagowaniu pierwszego rusińskiego pisma „Bukowyna”, którego redaktorem był przez jakiś czas poeta Jurij Fed’kowycz. „Gazeta Polska” przywitała organ rusiński dużym tytułem: „Szczęść Boże — mnohaja lita”<sup>10</sup>. Znana jest fotografia, na której redaktor „Gazety Polskiej” Kołakowski i redaktor „Bukowyny” Tymiński siedzą przy stoliku, ten pierwszy trzyma w rękę „Bukowynę”, a drugi „Gazetę Polską”. Tymiński zresztą przed utworzeniem „Bukowyny” regularnie pisywał do „Gazety Polskiej”. Zaś najbardziej chyba wpływowym działacz ukraiński Mychajło Drahomanow z dalekiej Genewy sprawy rusińskie na Bukowinie załatwiał przez korespondencję kierowaną do redakcji... „Gazety Polskiej”<sup>11</sup>.

Charakterystyczna jest relacja z uroczystości jubileuszu 25-lecia Czytelni Polskiej w Czerniowcach w 1894 r., podczas której przemawiał sam poseł Pihulak:

*Pozwolte i meni u sej wasz tak poważnyj i swiatocznyj deń zabraty hołos si storony waszych ridnych bratiw Rusiniw. Ja każu ridnych bratiw, bo odna nam ridna maty, słowiańskaja maty!... Panowe! Stupajcie napered, rozwiwajcieś, uszlachetniajcieś i wydoskonalujcieś do najwyższoho szczebla, jakij pryroda nam ludiam tyś osjahnuty dozwalaje... My, Rusyny, ne budem Wam toho zazdrostyły! Protywno! My budem tisztyły z toho, bo budem maty pered soboju dowid, szczo toju samoju dorohoju dostyhnem i my, Rusyny, toho samoho, toji samoji pryrodnoji syły! Zdojmaju otsej puchar na choroszyj rozwytok Polakiw, na ich najwyszczze wydoskonalenie u naszom kraju!*<sup>12</sup>

Nie jest chyba odkrywczym stwierdzenie, iż przedstawiciele obu narodów aż do tragicznych wydarzeń roku 1918 okazywali sobie wzajemny szacunek. Charakterystyczna jest wzmianka zamieszczona w czerniowieckiej prasie z 19.01.1912 r.: „Jak corocznie posłowie Wassilko, Stocki i Pihulak złożeniem na grobie wieńca uczcili pamięć zasłużonego dla Bukowiny długoletniego posła dr Stefana Stefanowicza...”.

<sup>10</sup> Do tego czasu odnosi się następujące wydarzenie, wspomiane przez redaktora Kołakowskiego. Oto pewnego dnia do redakcji „Gazety” wszedł starszy mężczyzna w stroju huculskim i zbliżywszy się do Kołakowskiego, ujął go za rękę i pocałował. Jakież było zdziwienie i zażenowanie młodego wówczas redaktora, gdy dowiedział się, że owym przybyszem był głośny poeta Rusi bukowińskiej, Jurij Fed’kowycz. Kiedy czynił gościowi wymówki za dziwne zachowanie się, Fed’kowycz, wzruszony, odrzekł po rusku: „Należy wam się ta wdzięczność za wszystko, co dla biednej naszej zrobiliście Rusi i ja ją wam po swojemu, po huculsku wyraził” (*Gazeta Polska*, Czerniowce, 9.11.1899, za: E. B i e d r z y c k i: *Historia Polaków na Bukowinie*, Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego, Prace Historyczne, z. 38, 1973).

<sup>11</sup> Warto wiedzieć, iż poetka Łesia Ukrainka (właściwie Ołena Kosacz), której pobyt w Burkucie jest jednym z mitów założycielskich literatury i poezji ukraińskiej na Huculszczyźnie, była siostrzenicą Mychajła Drahomanowa.

<sup>12</sup> *Gazeta Polska*, nr 39, 17 maja 1894, za: B i e d r z y c k i, op.cit.

## Hierotej Pihulak na karpackich płajach

Wypada w końcu przejść do zasadniczego wątku mojej opowieści, czyli związków Pihulaka z galicyjską Czarnohorą oraz dwu „karpackich” książek jego autorstwa. Fascynacja Pihulaka tymi górami rozpoczęła się chyba przypadkowo. Otóż pierwsze wakacje po maturze, jako osoba niezamożna, zapewne na zaproszenie któregoś z gimnazjalnych kolegów, spędził w Hryniawie, w domu znanego w okolicy Jana Feiera (nazwisko pisane także jako Feuer lub Fauer), który jako urzędnik „spółki pruskiej” prowadził eksploatację lasów nad Białym i Czarnym Czeremoszem, a w Hryniawie u ujścia Probijny prowadził pierwszy w okolicy pensjonat. Korzystając z gościnności i życzliwości Feiera Pihulak z towarzyszem całymi tygodniami wędrowali po okolicy. Nie jest wykluczone, że owym towarzyszem mógł być członek rodziny Feierów lub innej z rodzin urzędniczych osiadłych nad Czeremoszami. Od tego czasu datuje się miłość Pihulaka do tego zakątka Karpat. Młodzieńcze wędrowki kontynuował także w latach studiów. Miał więc okazję wielokrotnie odwiedzić wszystkie zaprzyjaźnione z Feierami, a zamieszkujące te pustkowia rodziny, a więc Bensdorfów z Szybenego czy Miltsovitsów/Milcewiczów z Szykman<sup>13</sup>, Kandelów z Jawornika, Kisslingerów z Jasienowa. Trasy jego wycieczek wiodły oczywiście głównie w okoliczne góry. A na góry, przyrodę, światło, wodę i powietrze miał spojrzenie prawdziwego specjalisty „historii naturalnej”, ale równocześnie spojrzenie... prawdziwego poety.

W Jaworniku, zapewne w czasie którejś z wakacyjnych wędrowek, poznał swoją przyszłą żonę Adolfinę, której poświęcam niżej oddzielny podrozdział.

Ze wspomnień H. Pihulaka wynika, że około roku 1890 poważnie podupadł na zdrowiu, prawdopodobnie zapadł na powszechną w tamtym czasie gruźlicę. Doszło chyba do bezpośredniego zagrożenia życia. Jako szansę na wyleczenie lub przynajmniej powstrzymanie choroby lekarze zalecili mu wyjazd z miasta i zmianę klimatu na górski. Pihulak wyjechał więc na cały rok do Żelonego, licząc się nawet z tym, że już nigdy nie wróci do rodziny, a jego dzieci pozostaną sierotami. Tak wspominał po latach:

Nieszczęście zmusza mnie do ucieczki głęboko w góry — do Żelonego. Tu dom nad Czeremoszem. Z lewego boku na wschód wysoka i harna połonina Skupowa, od północy i zachodu długi grzbiet Skorusznego, a na południe, aż do Ludowej, otwiera się przepiękna dolina. Środkiem wije się srebrna wstęga Czeremoszu. A po prawej stronie przy drodze maleńka cerkiewka. Stoi na tym wysokim brzegu malowniczo i cichutko.

---

<sup>13</sup> O tej rodzinie miałem zaszczyt pisać w „Płaju” nr 45 oraz wraz z A. Wielochą w „Płaju” nr 47.



A wokół niej niewielki cmentarz... Zimą spowija ją gruba warstwa błękitnego śniegu. Krzyże na cmentarzu aż się uginają pod jego ciężarem. Wszystko to zanurzone jest w wiecznym spokoju. (...) Długo patrzyłem na tę cerkiewkę, na te cmentarne krzyże w mroku. I rozumiałem ich słowa: „Tam twój odpoczynek, tam spadnie ci z pleców jarzmo, tam znajdziesz wieczny spokój”. Ale przeminęło wiele lat. I cerkiew w Zełenem i cmentarzyk pod jej bokiem nie przyjęły mnie jeszcze w gości. Rok na Wierchowinie uczynił cuda...

Po tym „wierchowińskim cudzie” lekarze oczywiście nadal zalecali Pihulakowi, wówczas już znanemu posłowi bukowińskiemu, pobyt wysoko w górach i popularne wówczas kuracje żętyczne, a także kurację kozim mlekiem. Kilka, a przynajmniej trzy kolejne letnie sezony spędził samotnie na połoninie pod Czywczynem, w oddaleniu od świata, korzystając z dobrodziejstw górskiego powietrza, wody oraz świeżej żętycy i koziego mleka przynoszonej z okolicznych staj pasterskich.

Na zgoła niespodziewany dowód tego, że relacja Pihulaka jest prawdziwa, natrafiłem w powszechnie znanych w środowisku krajoznawczym w Polsce *Moich wspomnieniach turystycznych* pocziwego Mieczysława Orłowicza. Otóż opisując wycieczkę lwowskiego AKT odbytą w 1906 r., zaraz po opisie przygody z rozproszeniem grupy przez groźnego byka po „węgierskiej”, a właściwie rumuńskiej stronie, pisze on:

Dowiedzieliśmy się, że na Czywczynie stoi willa pewnego ukraińskiego posła z Bukowiny do parlamentu wiedeńskiego. Spędzał on tutaj wakacje. Chcieliśmy mu złożyć wizytę, ale jak poinformowali nas Huculi, posła nie było, willa była zamknięta, a poseł przyjechać miał za kilka dni i że będzie zapewne żałował, gdy dowie się, że byli tu studenci ze Lwowa i nie zastali go. Wobec tego napisaliśmy parę słów zawiadomienia, że bawiliśmy tu w przejściu Szwajcarii Bukowińskiej i z Dornej Watry i żałujemy bardzo, że nie mogliśmy złożyć mu uszanowania. Ponieważ podaliśmy także lwowski nasz adres AKT, w dwa tygodnie później otrzymaliśmy list w języku ukraińskim pisany, który wyrażał zadowolenie, że grupa polskiej młodzieży akademickiej ze Lwowa zapuściła się w tamtejsze góry. Prosił, aby tę wycieczkę jeszcze powtórzyć, ale w porozumieniu z nim, to wówczas on przygotowuje dla nas noclegi i przyjęcie. Będzie się cieszył z poznania turystów, którzy zapuścili się aż na Czywczyn. Jakoś jednak nie miałem okazji po raz drugi odwiedzić te pustkowie i skorzystać z jego zaproszenia. W każdym razie odpisałem mu w równie przyjazny sposób jako posłowi Bukowiny, że jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, iż mogliśmy zobaczyć bukowińskie góry i poznać pasmo Czywczyna.<sup>14</sup>

Okazuje się, że ta trochę nieprawdopodobna opowieść o „willi pod Czywczynem” wygląda na prawdziwą. No, ale dlaczego Pihulak w sporych jak by nie patrzeć Karpatach Wschodnich trafił akurat pod Czywczyn, a przede wszystkim skąd ta surrealistyczna „poselska willa”, i to nie przy drodze, ale na wyso-

<sup>14</sup> M. Orłowicz: *Moje wspomnienia turystyczne*, Ossolineum, Wrocław 1970, ss. 488–489.



Staja pod Czywczynem na widokówce (fot. S. Bilikiewicz, 1939)

kiej połoninie? Historia ta znajduje jednak logiczne wytłumaczenie. Pihulak, wyjeżdżając podczas kolejnych wakacji w góry dla podreperowania zdrowia, przyjeżdżał po prostu do swojego szwagra, który akurat był właścicielem części połoniny Czywczyn, gwarantującej — co oczywiste — górskie powietrze, wodę i żętycę, na której nawet (co nie było chyba powszechne) wypasano ogromne stado kóz. A nie zapominajmy, że kurację właśnie mlekiem kozim zalecali Pihulakowi lekarze. Właścicielami połoniny Czywczyn w tamtym czasie byli Hucuł Atanazy Urszega<sup>15</sup> oraz Adalbert Miltsovits/Milcewicz.<sup>16</sup> Uprzedzając domysły Szanownych Czytelników informuję, że owym szwagrem Pihulaka był nie Tanasij, lecz Milcewicz, zamieszkały wraz z liczną rodziną w domu nad Starą Klauzą w Szykmanach i oprócz nadzorowania spławów posiadający tam spory

<sup>15</sup> Czyli vincenzowski Tanasij, huculski bogacz nad bogacze i członek Oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

<sup>16</sup> Po dzień dzisiejszy połoniny na Czywczynie nazywane są przez miejscowych: Tanaseńkowa, Kurakowa i właśnie Miłkowa. Wciąż stoją tam opuszczone już niestety zabudowania pasterskie. A o tym, że Huculi potocznie nazywali Milcewiczów „Miłkowiczami”, świadczyć może chociażby wzmianka w książce Jurija Huluka *Żabie*, napisanej w 1939 r., a wydanej staraniem wydawnictwa „Werchowyna” dopiero w 2004 r. (ss. 130–131).

majątek ziemski<sup>17</sup>. A żoną Adalberta, zwanego w rodzinie „Fredźko”, była Matylda z d. Kandel, jak odnotowano w annałach rodzinnych, „Austriaczka”. Dla nas — jedna z panien Kandel rodem z Kut, przebywająca często z siostrą Adolfiną w Jaworniku u brata Franciszka, który przez całe lata zarządzał tamtejszym tartakiem. Domek z gankiem w bliskości hałaśliwego tartaku, czyli siedziba zarządcy tego zakładu, wielokrotnie pojawia się we wspomnieniach Pihulaka.

Tak więc pierwszy rok swojej rzeczywistej kuracji Pihulak spędził na połoninie należącej do swojego szwagra, w prostym szałasie. Następne wakacje spędzał już w specjalnie wzniesionym dla jego potrzeb przez Fredźka Milcewicza budynku, dużo bardziej komfortowym niż pasterska koliba. Zapewne do „willi” tej budowli było daleko, ale musiała posiadać okno (przez które, jak wynika ze wspomnień, Pihulak obserwował np. burzę) i drzwi (na których wpisywali się goście, którzy dotarli na Miłkową pod nieobecność gospodarza). Woda była bieżąca (Huculi na bieżąco nosili ją ze źródła), a posłanie wymoszczone świeżą cetyną i wełnianym liźnykiem, co Pihulak bardzo sobie chwalił i uważał za ważny element kuracji. Tak że standard mieszkania nie był jak na tamte czasy i miejsce najgorszy.

Z Czywczyna. Stąpałem sam jeden po szerokiej, zielonej połoninie. Słońce zaszło już het! za góry. Wokół panowała głęboka, wieczorna cisza, a wierzchołki gór, nawet tych najwyższych, skryły się już w cieniu. Było tak cicho-cichutko, jak być może tylko w pogodny wieczór w górach. Jakaś tajemnicza światłość otacza powoli góry i doliny. Ściele się szeroko nad połoninami, wszystko staje się jakby bliższe, bardziej wyraziste i piękniejsze. Wypełnia bez reszty moje oczy i uszy, zajmuje myśli, wchodzi niemalże w samą głębię duszy i zmusza ją do włączenia się w tę jedyną na świecie, wieczorną wierchowińską światłość. Zdaje się to być w moim sercu jedną cichą wieczorną modlitwą. Potem wszystko to jakby się niepostrzeżenie oddala w oczach, kontury łagodnieją. Nad wszystkim unosi się coś jakby mięciutki puch. W jarach szarzeje, tak jakby na wskroś przenikały jakieś bezforemne zjawy, jakby idea snu schodziła z gór w świat, aby

---

<sup>17</sup> Antoni Adalbert/Wojciech (pisał się Alfred) „Fredźko” Miltsovits odziedziczył po protoplaście rodu Janie (Janosu) Miltsovitsu dom w Szykmanach, posiadał tamże grunty użytkowe o powierzchni 26 ha, 150 morgów lasu nad Starą Klauzą na Probijnie oraz pół połoniny Czywczyn (800 ha). Ożenił się w 1882 r. z Matyldą z d. Kandel (ur. 1864). Zajmował się gospodarstwem, przez wiele lat pełnił urząd wójta gminy Hryniawa (w końcowym okresie z wyboru). Z rodzinnych przekazów wynika, iż był bardzo szanowany przez Huculów z powodu swej prawości, rozszadzał sąsiedzkie spory, a jego rozstrzygnięcia nie były kwestionowane. Na marginesie zaznaczyć należy, iż połonina Czywczyn była jego współwłasnością z bratem Janem („Hańkiem”). W okresie międzywojennym Milcewiczowie tę połoninę sprzedali. Fredźko Milcewicz zmarł w 1932, jego żona w 1937 r. Milcewiczowie z Szykman doczekali się 17 dzieci, z których 7 zmarło w niemowlęctwie. Fredźko i Matylda pochowani są na cmentarzu przy cerkwi w Fereskuli (obecnie Czeremoszna). Ich groby się jednak nie zachowały.

czynić swoją powinność. Już wszystko drzemie... Wokół, na okolicznych połoninach zabłyśły przy szalasach ognie, jakby żertwa w ofierze Bogu. Nad ziemią rozściela się coraz głębszy mrok, ale wyżej nieśmiało przebłyskują już gwiazdy, najpierw bladziutkie i niewyraźne, ale w miarę postępującej ciemności coraz jaśniejsze, bardziej wyraźne i pilnie wpatrujące się w ten wierchowiński, wieczorny raj. A zza wschodniej połoniny Albina wygląda już księżyc. Rozrzuca po całym krajobrazie swoje srebrne promienie i przejmuje władzę nad opuszczoną przez słońce ziemią. Cały wieczorna światłość powoli gdzieś znikła. Wprowadzała tylko władcę nocy do jego królestwa i wraz z jego wejściem rozplynęła się w ciemności. Na źdźbłach połonińskich traw przesuwa się srebrenno-białe światło, w którym skrzą się miliardy pereł rosy.

Drugim miejscem związanym z wakacjami Pihulaka, i to w znacznie dłuższym okresie czasu, było jezioro Szybene. Powody jego pobytów w tym miejscu były takie same jak „pid hołmem” Czywczyna, ale zamieszkiwał tu w dużo bardziej komfortowych warunkach. Miał swoją izbę w domu *hatara*<sup>18</sup> na wzgórkach nad klauzą. Był tam i ulubiony przez Pihulaka *runduk*, czyli ganeczek, i rabaty z kwiatami i ziołami. Żona *hatara* zapewniała mu wikt i opierunek. No i niedaleko, w Jaworniku /Zelenem, przy niezłej drodze wozowej, którą musiano utrzymywać dla obsługi klauzy, zamieszkiwali krewni jego żony. Zaś w razie nagłej potrzeby, np. uczestniczenia w ważnym posiedzeniu Rady Szkolnej w Czerniowcach lub bukowińskiego sejmu, Pihulak mógł tuż przed swoją „willą” wsiąść o świcie na darabę i dotrzeć do stolicy Bukowiny w ciągu jednego dnia. Po południu dopływał już bowiem do Wyżnicy i po popołudniowej kawie zdążał na wieczorny pociąg do Czerniowiec. Nie zapominajmy, że Wyżnica to także jedno z bardziej znanych miejsc aktywności politycznej Pihulaka jako posła.

Staję nieraz nad samymi wrotami haci, i patrzę sobie na tę cichą wodę. W głębinie gra jeszcze światło wschodzącego słońca, woda jest nim przeświecona na wskroś, tak jakby sama była światłem. Przy brzegu widzę każdy kamyczek, a głęboko w wodzie setki cieni przenikających się wzajemnie i kąpiących się w głębinie słonecznych promieni. (...) Jednak nie na długo.

Słońce wędruje coraz wyżej, rozgrzane powietrze wznosi się do góry, znika rozścielona tu i owdzie poranna mgła. Leciutki powiew mąci ciche lice błękitnej wody. I już nie ma spokoju! Wzdłuż jeziora woda lekko drży i jej lice marszczy się miliardami drobniutkich fal. Wiatr droczy się z wodą. Jeden powiew przyciągnie, przytuli się,

<sup>18</sup> *Hatar* — nadzorca klauzy. We wspomnieniach Pihulaka jest to „Józio”. Imię, podobnie jak imię jego żony „Kasia”, wskazuje na „mazurskie” pochodzenie. Nie powinno to dziwić, bo wiele funkcji związanych z obsługą urządzeń w tartakach, na klauzach itp., nie mówiąc o nadzorze, pełniły osoby posiadające odpowiednie kwalifikacje, a więc przybysze z zewnątrz. W izolacji od świata zewnętrznego ukształtowała się grupa „zhuculających” Polaków, niejednokrotnie wspomnianych w literaturze i znanych chociażby z kart Vincenza. Relacje między Polakiem Józkiem a Rusinem Pihulakiem wskazują na fałszywość stereotypu Polak–pan, Rusin–sługa.

z jednego boku wypuści bezlik błyszczących drobniutkich baranków, a drugi na przekór powieje z naprzeciwka, połamie i wyrwie z fal bezlik drobnych srebrnych kropel. Te zaś, wyskoczywszy w przestrzeń, zatrzymują się na chwilę, jakby nie wiedziały, w którą stronę uciekać. Świeży powiew wiatru porywa je w jedną stronę, a drugi, wyprzedziwszy go i jakby mu na przekór — rzuca w przeciwną. I tak igraszka za igraszką. Drży lice jeziora. (...) Siedzę tak, ba, nie siedzę, lecz leżę nad głęboko w głębię schowanymi wrotami haci, podparłszy głowę rękoma i patrząc na tę zaczarowaną zabawę wiatru z wodą, wpatrując się w niezliczone przemiany na licu jeziora, nic nie słyszę i nie wiem, jak mija czas, a w głowie przelatują myśli (...).

— Proszę pana, niech się pan nie gniewa, ale musimy już wodę spuszczać, proszę się trochę odsunąć.

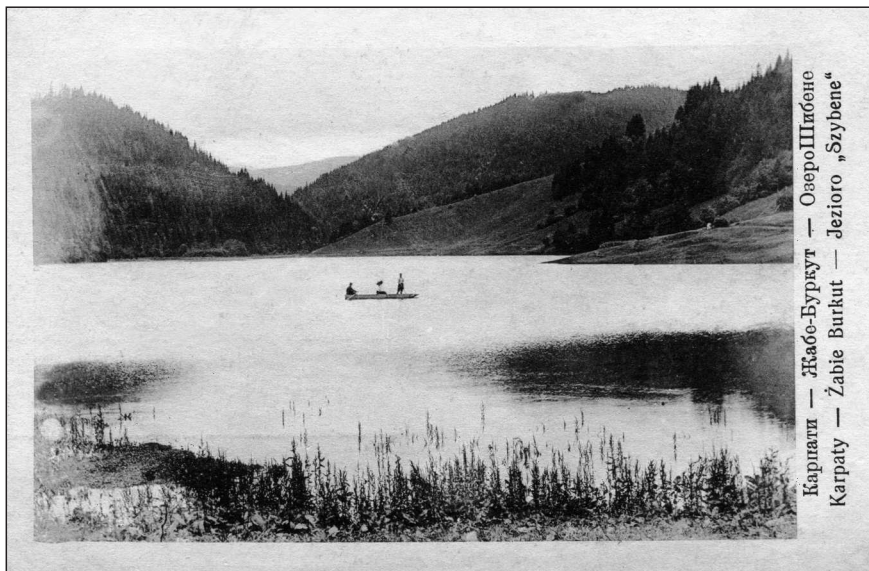
Zerwałem się jak oparzony z tej zadumy, nie słyszałem, jak hatar z pomocnikiem nadeszli „robić powódź”.

— To nic, hatarze, to nawet dobrze, że wypuszczacie wodę w dzień, przynajmniej raz zobaczę, jak z jeziora idzie powódź.

— No tak panoczku, bo zwykle każą Prusy wodę wypuszczać przed świtem, albo o północy.

— No bo potrzebują fali dla manipulacji tu wysoko, a teraz już drewno spłynęło Czeremoszem nisko i żeby fala tam dopłynęła, to trzeba wodę wypuszczać rano.

— Oj tak, panoczku. Do Uścieryk fala potrzebuje jakichś 12–13 godzin, a stamtąd do Kut jeszcze ze 4–5, a ile stamtąd dalej aż do Czerniowiec, do tartaku, tego już nawet nie wiemy.



Jezioro Szybene, widokówka wydana nakładem R. Gärtnera w Żabiem (ok. 1915)

— A ty co tak stoisz, dalej do śruby. (...) Z Prusami nie ma żartów. Jak nie przejdzie ta fala od nas na czas, to zaraz przyślą posłańca z karą. Oj, z Prusami nie ma żartów!

Huculi nazywają obecne Towarzystwo Eksploatacji Prusami, bo pierwszy rozpoczął tam manipulację właśnie jeden Prusak, ale obecnie to przedsięwzięcie jest już w trzecich, nie pruskich rękach, rękach Towarzystwa Akcyjnego, które zainwestowało w manipulację grube miliony. (...)

— Zakładaj drągi w ucha śruby i kręć w lewo — krzyczy hatar. I zaczęli biegać wokół śruby.

Coroczne przyjazdy Pihulaka stały się dla rodziny nadzorca klauzy prawdziwym świętem, a nawet swoistym wyznacznikiem zmiany pór roku. Zimą osamotniona chata nieraz zasypana była śniegiem aż po dach, a jej mieszkańcy przez wiele dni nie mieli kontaktu ze światem zewnętrznym. Czekali tylko na to, kiedy słońce wychyli się zza Raduła i znów przyjedzie profesor, traktowany jako członek rodziny i przedstawiciel innego, lepszego świata — nastąpi czas spokoju, ciepła i dostatku. Oto rozmowa w domu nad klauzą w ostatnim dniu wakacji, podczas oczekiwania Pihulaka „na walizkach” na wóz z Jawornika:

— Widzicie, panie, tamten jar na końcu jeziora? — pyta Kasia. — Widzicie, panie, to okno zwrócone na jezioro, o tam, na Raduł? Jak tam słońce zajdzie końcem października, to pojawi się znowu na niebie dopiero w lutym i znów wesoło zagładnie do naszej chaty. Ten pierwszy, krótki przebłysk słońca, to nasze największe święto, nasze odrodzenie...

— Oj tak, panie, takie to nasze tutaj życie — dodał hatar, ciężko wzdychając.

— I ja chciałbym być w takiej chwili być tutaj między wami i uczestniczyć w tym święcie słońca!

— A wiecie, panie, co my od tego słoneczkowego dnia robimy? — wtrąciła się żywo Kasia.

— Bardzo jestem, Kasiu, ciekawy — mówię.

— My od tego dnia zaczynamy liczyć, kiedy przyjedziecie — powiedziała gwałtownie i zamilkła.

— Żebyście, panie, wiedzieli — potwierdził hatar. — Waszego przyjazdu wyczekujemy, jak podróżni oczekują na przyjazd pociągu, który przywozi wiosnę.

— Najpierw — Kasia mówiła dalej — najpierw liczymy miesiące, potem tygodnie, dni, a w końcu godziny, kiedy tu przyjedziecie. Żebyście to wiedzieli. Chciałam wam to powiedzieć już dawno, ale mi było wstyd,

— Nie ma czego się wstydzić, Kasiuniu. Bo ja tak samo liczę miesiące, tygodnie i dni, kiedy wreszcie będę mógł wyrwać się z miejskiego zgiełku tu do was, do tej waszej cichej, rozkosznej, letniej Wierchowiny. Niczemu nie jesteście winni.

— Aleśmy się rozgadali — i Kasia zerwała się do drzwi. — A ty siedź, Józiu. Kto wie, kiedy nasz pan z Jawornika przyjedzie po pana. Zostawiłam chatę bez opieki. Bywajcie zdrowi, muszę iść do dzieci.

Jak się rzekło, poseł Pihulak odbywał z Szybenego liczne spacerunki i wycieczki, a nawet kilkudniowe, jak byśmy dziś powiedzieli, wyprawy karpackie. Jedną z nich była pełna spotkań z pasterzami i błędzenia w górach wędrówka z Worochty, dokąd Pihulak dotarł świeżo uruchomioną koleją, przez dziką jeszcze Foreszczenkę, Maryszeskę, Szpyci i właśnie z powodu błędzenia przez... klawę Balzatul i Ruski Dił do samego „ozera”. Z różnymi, jakże aktualnymi także dla współczesnych podróżników przygodami.

Tak gawędząc weszliśmy w żerep. To wierchowińska sosna, która rośnie wysoko, tam gdzie sosna i świerk już nie mogą egzystować. Krzewy te ścielą się gęsto nad ziemią, osiągając wysokość gdzieś do trzech metrów. Pień bardzo krótki wypuszcza dookoła siebie liczne odnogi, które splatają się ze sobą tak gęsto, że przez żerep nie można się w żaden sposób przecisnąć. Mógłby się w nim poruszać tylko drozd albo kot. Żerepowe zarośla ścielą się po powierzchni jak woda. I tak jak z wody wystają wysepki i półwyspy, tak między żerepem są wąskie przejścia, wejścia i przesmyki, które tworzą prawdziwy labirynt, z którego dla nieznanego terenu nie ma wyjścia. Wejść tu łatwo, ale jeszcze łatwiej zaraz się zagubić, a wyjść stamtąd jest niemożliwością.

Oprócz wędrówek pasją Pihulaka, szczególnie nad jeziorem, było łowienie ryb. Zawsze nosił ze sobą na plecach dwa zawiniątka, jedno zawierało właśnie wędkę, a drugie... flet. Złowienie dorodnego pstrąga, ku zazdrości miejscowych, zajmowało mu dosłownie chwilę.<sup>19</sup> Można przypuszczać, że dla gości odwiedzających „ozero” w tamtym odległym czasie zapamiętanym na długo obrazem był bukowiński poseł siedzący w samej koszuli z wędką na łódce pośrodku jeziora i grający na flecie tęskne melodie niosące się nad pofalowaną powierzchnią wody.

Jak można przypuszczać, na tym pustkowiu Pihulaka wcale nierzadko odwiedzały spore grupy turystów chcących zobaczyć Jezioro Szybene czy zatrzymujących się nad nim na noc, w drodze na szczyty Czarnohory. Jezioro było także żelaznym punktem spacerów wcale licznych w tamtym czasie kuracjuszy przebywających w Burkucie. I *vice versa*, Pihulak lubił przechadzać się „do wód” w Burkucie<sup>20</sup> i do zgromadzonego tam światowego towarzystwa. Nastrój w Burkucie w czasach jego drugiej świetności pozwolę sobie przybliżyć czytelnikom poprzez opublikowany także w tym numerze „Płaju” zupełnie unikalny rozdział *Werchowynskich Zhadek*.

<sup>19</sup> Rybołówstwo było w tamtych czasach popularną rozrywką wśród rusińskiej inteligencji. Zapalonym rybakim był np. znajomy Pihulaka — Iwan Franko. Używał on jednak własnoręcznie wyplatanych sieci lub... trucizny. Jak wynika z przekazów historycznych, złowionymi w Czeremoszu pstrągami Franko raczył przebywającą w Burkucie poetkę Łesię Ukrainkę.

<sup>20</sup> Zarządzającą Burkutom na przełomie stuleci była Teofila Łakustowa z dobrze znanej Pihulakowi Wyżnicy, gdzie często bywał z racji swoich funkcji publicznych i prawie zawsze po drodze w ukochaną Czarnohorę.



Uzdrowisko Burkut, widokówka wydana nakładem R. Gärtnera w Żabiem (ok. 1915)

## Adolfina Pihulak. Pro memoria

Swoją przyszłą żonę Adolfinę Hierotej Pihulak poznał w Jaworniku lub Zeleńem podczas którejś ze swoich wakacyjnych wędrówek w czasie studiów lub też zaraz po ich zakończeniu. Ich spotkaniom w anturazie karpackiej przyrody poświęcił w swoich wspomnieniach wiele miejsca. Po ślubie małżeństwo Pihulaków zamieszkało w Czerniowcach. Jak pisze sam Pihulak, Adolfina, ten kwiat wyrwany z karpackiej przyrody, nie mogła żyć w dusznym i hałaśliwym mieście. Popadła w ciężką chorobę, zapewne gruźlicę (zmarła w Czerniowcach w 1890 r.). Małżeństwo Pihulaków doczekało się dzieci. Z danych, do których udało mi się dotrzeć, wynika, iż byli to syn Omelan i córka Natalia, której ojciec zadedykował swoje dwie karpackie książki. Za przedwczesną śmierć żony i osierocenie dzieci Pihulak obwiniał się później przez długie lata swojego życia.

Przystępując do pisania tego artykułu, po wielomiesięcznych dociekaniach byłem pewien, że Adolfina pochodziła z rodziny Kandelów, Austriaków osiadłych w tamtym czasie nad Czeremoszem. Ich majątek rodzinny, przede wszystkim wielki sad, leżał w Rybnie nad Czeremoszem, tuż przed Kutami. Przedstawiciel drugiego pokolenia Kandelów, Fryderyk, był zarządcą tartaku



Gotz i S-ka w Jaworniku.<sup>21</sup> Jego siostrami i zapewne częstymi gośćmi w Jaworniku były Matylda (później zamężna z Adalbertem Milcewiczem) oraz właśnie Adolfina. Sam zaś Pihulak w swoich wspomnieniach podaje kilkakrotnie, że jego przyszła żona zamieszkiwała w Jaworniku (lub Zeleńem), całe życie spędziła w górach, wspomina też, że jego szwagrem był Milcewicz z Szykman. Obce pochodzenie żony Pihulaka potwierdza także wzmianka w notatce z jej pogrzebu, gdzie nazywa się ją „przyjaciółką narodu ruskiego”. Wszystko więc się zgadzało!

Ale... zupełnie niedawno dotarłem do dokumentów rodzinnych rodziny Kandelów<sup>22</sup>, z których wynika równie niezbicie, iż owa Adolfina Kandel wyszła za mąż za zupełnie innego mieszkańca Czerniowiec, a mianowicie Dominika Kleina<sup>23</sup>, który pracował w tartaku — być może zresztą właśnie w Jaworniku albo Uścierkach, które były własnością tej samej spółki. Z zapisków tych wynika, że Dominik Klein był wątłego zdrowia. Można by więc podejrzewać, że Adolfina po śmierci Dominika wyszła za mąż powtórnie, tym razem za Hieroteja Pihulaka. Niestety, wydaje się to nieprawdopodobne z powodów chronologicznych. Adolfina Kandel urodziła się bowiem po 1864 r. (to data urodzin jej starszej siostry Matyldy), a w małżeństwie z Dominikiem Kleinem wydała na świat przynajmniej trójkę dzieci. Nie ma żadnych przesłanek do twierdzenia, że Dominik Klein zmarł wkrótce po ślubie, a wdowa zdążyła

<sup>21</sup> Tu autentyczne świadectwo i to huculskie, zawarte we wspomnianej już książce J. H u l u k a *Żabie* (ss. 130–131): „Między tymi urzędnikami [«spółki pruskiej» – LR] był także Kandel, który mieszkał w Jaworniku i był dla wszystkich bardzo uprzejmy i łagodny, a wyniósł się do Żabiego jeszcze przed wojną [I światową – LR]”. Z kolei Mychajło Łomacki stwierdza: „Wtedy [gdy powstawała «spółka pruska»] pojawili się w górach Niemcy jak: Feiery, Sirke, Bensdorfery, Milcowicze [sic!], wszyscy oni byli urzędnikami Towarzystwa Akcyjnego i stali się szybko bardzo bogaci. (...) Kandel kupił dwa wielkie domy w Badenie nieopodal Wiednia i tam się przeniósł”. I szczególnie ważne dla poparcia mojej tezy: „Wszyscy ci Niemcy byli ze sobą spowinowaceni” (M. Ł o m a c k i: *Werchowyno, switku ty nasz. Narysy z Huculszczyny*, Miunchen 1956, ss. 159–160).

<sup>22</sup> Owi Kandelowie podobno deklarowali się jako Austriacy, nosili się „z niemiecką”, byli wyznania ewangelickiego, a po sprzedaży majątku w Rybnie z początkiem wieku osiedli w Austrii, gdzie w Baden koło Wiednia ich potomkowie prowadzili pensjonat. Ze ich niemieckości nie do końca była oczywista, zaświadcza grób syna Franciszka Kandla, Artura, który znajduje się na... Cmentarzu Obrońców Lwowa: „Artur Kandel, ur. w 1888 r. w Jaworniku, zm. 6.11.1918 r., K. XV, grób 1293” (S. S. N i c i e j a: *Cmentarz Obrońców Lwowa*, Ossolineum 1990, ss. 329–330).

<sup>23</sup> Ten Dominik Klein z Czerniowiec według rodzinnych przekazów był gorącym polskim patriotą, udzielał się w organizacjach polskich na Bukowinie, zdradzał także uzdolnienia poetyckie. Syn Dominika i Adolfiny Mieczysław mieszkał w Czerniowcach, a po II wojnie światowej starał się wyjechać do Polski, co mu się nie powiodło. Udzielał się potem społecznie w środowisku polskim w Rumunii. Zmarł w 1969 r. w Sibiu. „Kronika rodziny Miltovitsów vel Milcewiczów i rodzin spowinowaconych (genealogia i trochę wspomnień)”, napisał Edmund Wicentowicz, 1971 (niepublikowane).



Matylda i Adalbert Milcewiczowie

kolenie) zamieszkawali w Hryniawie, ale także w Jaworniku i Uścierykach, któredy wiodły szlaki wakacyjnych wędrówek Pihulaka. Realność w Jaworniku Feierowie sprzedali dopiero w ostatnich latach XIX w. Franciszek Feier był mężem starszej siostry Matyldy Milcewicz — Sybilli z d. Kandel. *Nota bene* Sybilla słynęła jako wzorowa gospodyni i głównie właśnie jej zasługą była sława pensjonatu Feierów nad Probijną, a szczególnie wybornej tamtejszej kuchni. Ich syn, uczeń czerniowieckiego gimnazjum, w którym Pihulak był profesorem, figuruje w roku 1891/92 w szematyzmie szkolnym jako Claudius Feier z Jawornika. Jeżeli więc Feierowie mieli córkę Adolfinę i to właśnie ona była żoną Hieroteja Pihulaka, to wszystkie podane wcześniej informacje udaje się spiąć. A biorąc pod uwagę zwyczajowe rozumienie pojęcia „szwagier”, Pihulak mógł tak Adalberta Milcewicza nazywać. Czy uda się jednak kiedyś w oparciu o dokumenty tę hipotezę potwierdzić?

Jedno słowo: Zełene! A ile wspomnień—myśli porusza w zbolałym sercu. Podobnie jak pszczoły w ulu, gdy do niego zapukać, wylatują rojem, wspomnienia—myśli wylatują i snują się wokół tego domku pod horbkiem na carynce, na której z kwiatami i Ona kiedyś „jak kwiat przekwitła” — wokół cerkiewki, która tak malowniczo, cichutko

wyjsć powtórnie za mąż. Poza tym żona Hieroteja Pihulaka zmarła w 1890 r., wydawszy przedtem na świat również trójkę dzieci. To wszystko nie mogło się raczej wydarzyć w ciągu dwudziestu kilku lat. Zbyt wiele jest więc przesłanek negatywnych, by przyjmować, że Adolfina Pihulakowa i Adolfina Kleinowa to ta sama osoba. A co z jedną, ale za to bardzo mocną przesłanką pozytywną, czyli osobą szwagra — Adalberta Milcewicza?

Jedynym wytłumaczeniem tej sytuacji, jak na razie hipotetycznym, jest przyjęcie, że Adolfina Pihulakowa pochodziła z innej rodziny austriackiego pochodzenia osiadłej nad Czeremoszem, a mianowicie z Feierów. Johann Feier (I pokolenie) i Franz Feier (II po-

i samotnie drzemie przy drodze nad rzeką, wokół tartaku hałaśliwego, wokół kwiatów na carynce, wokół wszystkiego, co tylko oko widzi w Zeleńcu. Tam moje nadzieje, tam życzenia, tam sny o słonecznej, pięknej przyszłości, tam uczucie rozkoszy rozpiekało młodą pierś, jak ta obszerna zielona dolina, co ścieli się jak wzorzysty kilim ponad rzeką, rzadko przeplatany ruskimi chatami. Tam im początek, tam im koniec. Pozostała w tym miejscu tylko bezgraniczna tęsknota, i smutek, i słodkie wspomnienia...

Tam, w tym domu, pamiętam jak dziś, choć to było tak dawno, stałem wieczorem na ganeczku i patrzyłem na przepiękną, ze 4 kilometry długą dolinę Zeleńca. Była cała skąpana w świetle księżyca, który w swojej wieczorno-letniej krasie rozbił swój obóz nad poloniną Skupową. Stamtąd spuścił na ziemię i rozścielił miliardy niewidzialnych cieni, magicznie tłących się promieni, które splotły się w jakąś prześwitującą tajemniczo tkaninę, rozpiętą nieruchomo nad całą doliną i napelniającą ją jakimś poblaskiem, tak że widać wszystko jak w dzień. Tylko kontury nie mają tej przeraźliwej jak za dnia ostrości.

Miękkie formy i kontury bielejących w oddali chat, worynie, smereki i kwiaty szerokiej carynki przede mną łączą się z pełzającym światłem księżyca. Na carynce niezapominajki i margarytki. Na najbliższych widzę każdy listeczek z perełkami rosy, promieniującymi światłem we wszystkich kolorach. A te dalsze okrywają carynkę skrzącym się, kwietnym śniegiem. Cerkiew, ot tam na prawo, wyziera zza wielkich świerków przy drodze nad rzeką w całej swojej światłości, a jej banie odbijają światło księżyca, jaśniejąc może i bardziej niż on sam. Na bliższych smrekach widzę niemalże każdą gałązkę, te dalsze, tam hen za rzeką, gdzie kończy się już dolina, rozmywają się w półświecie księżycowego krajobrazu. Nad wszystkim rozciąga się głucha cisza złączona z błądą księżycową poświatą. Tylko Czeremosz żyje. Cały jego nurt, wijący się przez dolinę, napelniony jest błyszczącym srebrem i mieniącym się światłem wiecznie wędrujących ruchliwych odbłasków, przypomina, że nie wszystko jeszcze zasnęło w tej głębokiej ciszy. (...) Stałem i patrzyłem i wzrokiem, i duszą na to wszystko, co działo się przede mną, prawie zastygły w zachwycie i nieprzytomny. Zdawało mi się, że widziałem, jak księżyc roztaczał cały swój czar i składał w darze mojej duszy, niczym handlarz drogocennych klejnotów wprawna ręką prezentujący błyszczące diamenty, aby porwać rozum i duszę tego, na kogo zwrócił swój wzrok. Tak owładnięty duszą i ciałem w tej do teraz we śnie widzianej świetlnej chwili i zaczarowany pięknem przyrody, nie czułem i nie widziałem wokół siebie niczego więcej. I choć z domu, zza okien dobiegał wesoły gwar przybyłych jeszcze za dnia licznych gości, nic mnie to nie to obchodziło, o niczym innym nie myślałem. Czułem tylko, że moja dusza łączy się z ciałem, podobnie jak te promienie księżycowe zlewające się ze sobą w jedno magiczne, przezroczyste światło.

Ona przyszła do mnie, zbliżyła się niepostrzeżenie, cichutko patrzyła tam gdzie i ja, słuchała tego, czego słuchałem i ja, i poddała się temu samemu czarowi chwili, który mną owładnął. Byliśmy w tym momencie doskonałą jednością... (...)

Długo staliśmy nieruchomo obok siebie, długo podziwialiśmy bez słowa to przenikanie księżyca i to zaczarowanie całej doliny w nadziemski raj. Nawet wiecznie szczerbiotliwy drozd zamilkł i nie odważył się zakłócić tego czaru swoim wesołym śpiewem.

Po długiej chwili zwróciła się do mnie i spytała cichutko:

— Czy zawsze będziemy tak szczęśliwi jak w tej chwili?



Cerkiew w Zielenu na Czarnym Czeremoszem

— Losie mój — odpowiedziałem — czy ta dolina, czy ten prawdziwy raj będzie zawsze tak niewymownie piękny jak teraz? Widzisz, ponad tym teraz jasnym rajem gonią gdzieniegdzie chmury, srożą się burze. Jeszcze będzie ciemno i smutno w tej zielonej dolinie. Ale słoneczne światło w dzień, a księżycowe promienie w nocy przepędzają tę nieprzyjazną ciemność, uspokajają burzę, koją przerażone dusze. Czy zawsze będziemy tacy szczęśliwi jak w tej chwili, tego nie wiem. Ale widzisz tę zieloną dolinę, tę cerkiewkę cichą, tę żywą rzekę, te góry wysokie. Tę rozkoszną carynkę i twój dom. Czy wiesz jak ja je bezgranicznie kocham? Wiedz, że zapomnę o tobie chyba wtedy, kiedy niczego już pamiętać nie będę; przestanę cię kochać wtedy, kiedy przestanę się kochać w tej twojej rajskiej krainie i po niej wędrować, to znaczy wtedy, kiedy moje serce przestanie bić. Niczego pewnego więcej o przyszłości nie wiem...

Bez zniecierpliwienia, poważnie, prawie w jakimś prorockim uniesieniu weszła w moje słowa.

— Jestem zadowolona. Wiem jak ty te moje góry i tę moją krainę bezmiernie kochasz. Jestem nierozłączną częstką i dzieckiem tego czarnohorskiego świata. Moich gór nigdy nie porzucisz, nigdy o nich nie zapomnisz, tak jak i mnie nie zapomnisz razem z nimi. Nie zapomnisz nigdy. Jestem szczęśliwa...

Głupi! Prosto z połoniny przesadziłem ten delikatny kwiat w miasto jej obce, w zady-mione powietrze... Nie przyjął się. Wiedła, schła, nikła. Niczego wówczas nie widziałem

i nie rozumiałem. Odeszła, osierociła nas. Wiem, że wróciła do swojej krainy, tam gdzie kiedyś na carynkach „kwitła jak kwiat”.

*Minułaś, propała!...  
Ot jak wono!  
W druhych dola nawit' w korszmi  
W karty zaziraje  
A moja deś w tumani  
Horami blukaje.  
Temu to i ja w deń i w noczy  
Horami blukaju,  
Za horamy, za dolamy  
Dolji wyhladaju.  
Ta darma! Ne wernet'sia!*

Przedwczesna śmierć Adolfiny w 1890 r. wywołała u Hieroteja Pihulaka prawdziwy wstrząs, czemu dał wyraz w licznych fragmentach swoich karpackich książek. Relację z pogrzebu Adolfiny zamieściła czerniowiecka „Bukowyna”<sup>24</sup>:

Adolfina Pihulakowa, żona profesora Hieroteja Pihulaka, zmarła 9 dnia tego miesiąca po długiej i ciężkiej chorobie. Pogrzeb odbył się 11-go tego miesiąca przy licznej obecności publiczności, szczególnie ruskiej. Niech jej ziemia lekka będzie, a Patriotę niech Bóg wzmacnia dla Rusi i osieroconych dzieci. Członkowie czerniowieckich towarzystw ruskich złożyli na mogile zmarłej przyjaciółki narodu ruskiego, która była członkinią „Narodnego Domu” piękny wieniec z błękitnymi, złotem ozdobionymi szarfami i napisem: „Szanownej przyjaciółce brata-towarzysza członkowie czerniowieckich towarzystw ruskich”. Nad mogiłą przemawiał ze strony Rusinów pan Omelan Popowycz.

Dużo mówiące jest słowo samego Hieroteja Pihulaka, zamieszczone w tym samym numerze „Bukowiny”:

Podziękowanie. Nieubłagana śmierć odebrała mi drogą żonę, a dzieciom moim ukochaną matkę. W moim niezmiernym bólu doznałem wielkiego wsparcia przez szczere współczucie ze strony Szanownych Przyjaciół i znajomych, szczególnie ze strony braci-towarzyszy, a to Panów Towarzyszy członków ruskich towarzystw w Czerniowcach i ich szanownych rodzin. Do czasu, aż będę mógł podziękować każdemu z osobna, proszę wszystkich dobrodziejów przyjąć ta drogą szczere ruskie „Bóg zapłać” za wielką pomoc, jaką wlał w moje zbolełe serce. Czerniowce, 12 (24) stycznia 1890. Hierotej Pihuljak, cesarsko-królewski profesor.

Adolfina spoczywa na Starym Cmentarzu Ruskim w Czerniowcach. Jej grób udało mi się odnaleźć, jednak jej postać jest dla mnie ciągle tajemnicza. Może uda się jeszcze czegoś o Adolfinie dowiedzieć...

---

<sup>24</sup> *Bukowyna* nr 2 z 18 (30) stycznia 1890 r.

I znowu z książki Pihulaka:

Kiedy tak jesienną porą wracam darabą w doły, do domu z sierotami, i przepływam na wprost tego domu, co tam na górze stoi ,samotnie na szerokiej carynie, to odkrywam głowę i złożywszy ręce modłę się. Nie zapominajcie, dzieci, tego domu, szanujcie go i poważajcie. Tam rozkwitła kiedyś ta, co wlała wam swoją krew w żyły, dała wam życie i światło, dała świat boży oglądać. Kochajcie ją, kochajcie waszą matkę choćby w myśli, i starajcie się przynieść chwałę nawet jej pamięci. To będzie nasza najpiękniejsza modlitwa. Wy ledwo pamiętacie zmarłą matkę, byliście jeszcze maleńkie, gdy ona po raz ostatni błogosławiła was i z wami się żegnała...

## Karpackie książki Hieroteja Pihulaka

Wyrazem miłości Hieroteja Pihulaka do karpackich gór, miłości do żony Adolfiny, a także do córki Natalii są dwie napisane przez niego książki noszące wspólny tytuł *Werchowynski Zhadky*<sup>25</sup>. Pierwsza część, *Na połonyni*, wydana została przez Towarzystwo „Ruska Besida” w Czerniowcach w roku 1900, a część druga, *Nad ozerom*, w roku 1909.

Wspomnienia autor poświęcił swojej córce Natalii, która — jak pisała w listach kierowanych „na Czywczyn” — była bardzo ciekawa, co tatko porabia w karpackich górach i jak mu się tam żyje. Jak pisze sam autor:

Wypuszczając te oto moje zapiski w ruski świat, mam nadzieję, że może przyczynią się do tego, że u jednych wzbudzą, a u niektórych może wzmocnią miłość do wierchowińskiej przyrody, a szukając tego, o czym przeczytali, nauczą się patrzeć na nią nie tylko oczyma, ale i duszą. Kto patrzy tylko oczyma, ten nie znajdzie tego, co tu namalowane słowami, bo w każdej rzeczy widzimy nie to, jaka jest, lecz jaki oddźwięk budzi ona w naszej duszy.

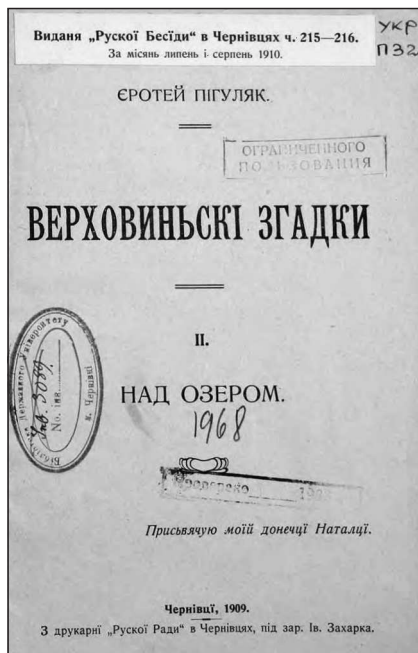
Trudne, wręcz niemożliwe jest krótkie omówienie zawartości obu tomów *Werchowynskich Zhadek*. Cóż nam, ludziom zakochanym w Karpatach Wschodnich, może dać streszczenie 384 stron tekstu, rozpoczynającego się mniej więcej tak: „Stoję na samym wierzchołku Połoniny Pniewie. Przed moimi oczyma roztacza się kraina spokoju, powagi, świeżości i zdrowia. Przed moimi oczyma otwiera się świat w promieniu jakichś 30 mil. Dotarłem tutaj na grzbiecie konia wzdłuż potoku Hramitnego...”. Ci, co tam byli, wiedzą, o czym pisze autor, a ci co jeszcze nie byli — nie bardzo rozumieją. I koniecznie powinni tam się wybrać.

---

<sup>25</sup> *Zhadky* — wspomnienia, zapiski.

Dwuksiąg Pihulaka jest rodzajem pamiętnika, pisanego w pierwszej osobie. Odzwierciedla wiernie to, co autor rzeczywiście widział i przeżył w trakcie swoich kilkudziesięciu podróży w Karpaty. I jak na profesora historii naturalnej przystało, autor włożył do pamiętników bardzo obfity materiał faktograficzny i nazewnicy. A więc opisy konkretnych podróży odbytych głównie pieszo, ale także na grzbiecie konia czy na darabie. Odbytych w różnych porach roku, głównie w wakacje, ale mamy też opis podróży „z wiosny do zimy”, z Kut przez Hryniawę do Zełenego, przez głębokie jeszcze śniegi na nieulepszonym przez cywilizację odwiecznym łąju przez Watonarkę. Albo wspinięcie się zapomnianym już Ormiańskim Płajem z Albinu do Szykman.

Pihulak opisuje np. malowniczo przedświt na drodze z Kut do Uścieryk, zakole na Czeremoszu zwane Kozacze Pleso, Skatę Sokólską, wierchowińską carynkę i wierchowiński mech, jezioro Szybene i falę powodziową z niego wypuszczaną, połowy pstrągów, obyczaje gości — turystów odwiedzających na przełomie wieków Czarnohorę, burzę, błyskawice (z kapitalnym opisem palącego się w ulewnym deszczu świerka rażonego piorunem), wodospady na Hramitnym itd. Są też liczne opisy widoków górskich, a nawet po dzisiejszemu „panoram” — z połoniny Pnewie, spod Skupowej, z Watonarki, oczywiście z Czywczyna, spod Szpyci, gdzieś spod Ruskiego Diłu i wiele innych. Opisanie są także miejscowości: Zełene, Jawornik, Szybene, Burkut. Obszerne fragmenty traktują o czarnohorskiej faunie i florze: niedźwiedziu, guszcach, pstrągach, o mchu, kwiatach na carynce czy pierwszych wiosennych kwiatach w dolinach potoków. Sporo miejsca autor poświęca opisom konkretnych miejsc i zjawisk gospodarczych i społecznych na Huculszczynie końca XIX w. Mamy więc dokładny opis gospodarowania na połoninie Czywczyn, opis funkcjonowania kłauzy i spławu darab, mamy świadectwa budzenia się świadomości rusińskiej wśród prostego ludu w Karpatach (przy tej okazji pojawiają się nie-



Strona tytułowa książki Pihulaka

pozbawione uszczypliwości wzmianki o sąsiadach, czyli zapewne Polakach). Pihulak jest mistrzem opisu zjawisk przyrodniczych, szczególnie zachodzących w atmosferze. Wszechstronnie opisuje światło, słońce, cienie, chmury, a także — co niespotykane u innych autorów — światło księżyca i nocne widoki sadyb ludzkich, rzek, a przede wszystkim połonin.

Są i na dołach carynki, może nawet bardziej bujne i bogatsze w ziela, i bardziej kolorowe niż te wierchowińskie. Ale tego spokoju, takiej szlachetnej harmonii ziół, kwiatów i kolorów w dołach nie ma. Przy tym nie ma tam odpowiedniego tła dla tego obrazu, odpowiedniej kompozycji, ustawienia i pogrupowania, czego taki obraz wymaga. Ten smętny, ciemnobłękitny puch otaczających gór, ten wierchowiński spokój, ta wierchowińska niewinność, nieograniczona wolność i swoboda, która otacza i wnika w każdy wierchowiński obraz — tego zamglona przestrzeń podola nie ma. Choć co prawda, znajdą się i tacy, którzy nie dopatrzą się w wierchowińskiej carynce niczego nadzwyczajnego, tylko zieloną przestrzeń, przydatną do tego, aby na niej wygodnie odpocząć, dobrze podjeść albo (...) popaść marżynę. A może jeden, albo nawet i niejeden rzeczywiście spyta: „I czym takim osobliwym jest ta twoja carynka? Nic w niej nadzwyczajnego. Mniej więcej szerokie pole, na nim zieleń, bezlik kwiatków, komarów, motyli i promieni słonecznych. Więcej nic”. Ale tak samo możemy zapytać: „A czym właściwie jest owa tak bardzo osławiona harmonia muzyczna? Co to takiego, ot kilka dźwięków, kilka głosów połączonych w jedną całość?”. Tak... Kilka głosów...

No i muszę koniecznie to napisać. Wiele czarnohorskich książek, a szczególnie wspomnień z karpackich wędrówek zawiera opisy stad owiec, krów, a nawet wołów na połoninach. A Pihulak poświęcił kilka stron opisom sympatycznych... kóz, które jakoś umknęły uwadze innych autorów. Nie może wyjść z podziwu nad zwinnością i inteligencją tych stworzeń. Opisuje ich niebotyczne wędrówki po półkach skalnych na Sokólskim, ale także doskonałą wewnętrzną organizację i zdyscyplinowanie stada kóz na niedostępnym dla innej chudoby, pełnym złomisk skalnych stoku Czywczyny. Ze zdziwieniem odnotowuje, że do wypasania 400 sztuk tych zmyślnych, a niedocenianych stworzeń wystarcza tylko jeden pasterz (*kozar*). Naprawdę, ten fragment *Zhadok* warto przeczytać!

Obie książki zawierają także wątki fabularyzowane. Jest to np. opis pobytu Pihulaka w Wiedniu, Wenecji, Trieście czy Postojnej, wspomnienia z rejsu morskiego, dziwna, i nie do końca określona postać dziewczyny Ojdarki czy nieszczęśliwego Martynka, znanego Pihulakowi z czasów studiów, który niespodziewanie przybył do Pihulaka na Czywczyn i spędził tam z nim wiele dni, oddając się głównie wspomnieniom o nieszczęśliwej miłości. Dla mnie jako przeciętnego czytelnika tych kilkadziesiąt stron było jednak trudne do przebrnięcia i subiektywnie mało interesujące. Te fragmenty chyba niestety nie wytrzymały próby czasu.



W książkach jest także wiele elementów autobiograficznych, w dużej części poświęconych nieżyjącej już żonie i „junackim” latom autora — są one bardzo uczuciowe, napisane w bardzo już archaicznej, memuarowej konwencji. Współczesnego czytelnika może drażnić ten sentymentalizm, XIX-wieczna rozwlekłość. Ale obiektywnie ujmując, do rozwlekłości Kraszewskiego Pihulakowi daleko. Z drugiej strony to chyba dodatkowa wartość tych pamiętników, odzwierciedlających styl myślenia i pisania tamtej epoki.

Od Pihulaka możemy dowiedzieć się, jak wyglądało pod koniec XIX w. życie w pasterskich stajach i huculskich chatach, ale także w zamożnych domach wymienionych co prawda tylko z inicjałów Bensdorfów, Feierów, Milcewiczów i Kandelów.

Szczególnym smaczkiem jest opis żywego na Huculsczyźnie pod koniec XIX w. motywu wędrującego *incognito* wśród prostych ludzi arcyksięcia Rudolfa Habsburga. Na przykład po udzieleniu Pihulakowi gościny na Maryszeskiej tamtejszy pasterz z niejakim zdziwieniem i rozczarowaniem konstatuje, że przekazany mu w opiekę przez innego Hucula gość, którego życzenia miał w lot odgadywać, to nie „Rudol”. Ale jakaś wątpliwość, czy aby na pewno Pihulak to nie Rudol, chyba mu pozostała.

Niedługo potem powyżej mnie wylania się jakiś stareńki, drobny Hucul i rozgląda się to tu, to tam. Zobaczył mnie, rozdziawił gębę i stanął jak wryty. Zbliżam się, a on ani drgnie. Oczy zamglone ze starości, ani jednego zęba, kępkami rzadkich włosów niczym białym jedwabiem porusza leciutki wiatr. Dziad jak w bajce, jak duch, jak mara.

— Sława Isusu, dziadku. Czy dobrze tu wyszedłem na Połoninę Maryszeska? Stary dalej stoi nieruchomo z rozdziawioną gębą. A w końcu mówi dzieciennym głosem:

— Czy nie spotkaliście gdzieś tam moich capów?

— Nie, dziadku, capów nie widziałem, ale czy jestem na Połoninie Maryszeska?

— Te wszystkie trzy połoniny, co widzisz, to moje połoniny.

— Niech ci je Bóg błogosławi, dziadku!

Mara porusza się, zbliża, przygląda mi się z bliska, a w końcu mówi:

— A skąd to przyszliście i dokąd idziecie, paniczu?

— Idę nad jezioro. Czy dobrze idę?

— A ty nie Rudol, paniczu?!

Między Hucułami krąży gadka, że arcyksiążę Rudolf nie umarł, że chodzi huculskim wierchami, żeby ratować Huculsczyznę. Machnąłem ręką i mówię:

— Żebyśmy tak zdrowi byli, dziadziusiu! Rudolfa już dawno na tym świecie nie ma.

A on odpowiada:

— Oj, nie mów paniczu! Kto to może wiedzieć!

Dziadek pokręcił zasuszoną głową i wlepił we mnie zamglone starością oczy.<sup>26</sup>

<sup>26</sup> *Werchowynski Zhadky*, fragment rozdziału „Błużu” (Bładzę), na podstawie przekładu Andrzeja Ruszczaaka.

No i mamy kapitalne opisy miejscowych typów ludzkich, również z elementami oceny psychologicznej. Ot, taki Wasyl Medwid, jeden z Hucułów wypasających owce na połoninie pod Czywczynem, który czuwał tam nad Pihulakiem, rozpałał ognisko, przynosił ze staj pasterskiej niezbędne dla niego produkty. I dużo rozmawiał.

Niedźwiedziem zwali go dlatego, że pewnego wieczora wybiegł odganiać niedźwiedzia, który wtargnął do koszery z chudobą, wprost od zasypywania kuleszy, z kociołkiem i warząchwią w rękę. Wystraszony przez psy i atakujące woły niedźwiedź zranił bogu ducha winnego Wasyla w kolano. Rana nie była wielka, ale Wasyl na konto tego niedźwiedzia wyrwał sobie jeszcze dwa palce u ręki — żeby tylko nie pójść do wojska.

Ciekawe jest autoironiczne i jakże różniące się od naszego rodzimego „starego bacy z Zakopanego” podejście Wasyla do przepowiadania pogody w górach:

Jednego wieczora na czyste niebo wszedł księżyc. „Widzicie, paniczyku — mówi Wasyl — jak ten księżyc stoi ostrym różkami w górę do nieba, to będzie weremie (pogoda). Jak różki są zwrócone w dolinę i stępione — to na niepogodę. Teraz będzie pogoda, ja to sprawdziłem przez ponad trzydzieści lat na połoninie. To nigdy nie zawodzi. A zresztą, kto to może wiedzieć!”. (...)

Raz dobrzy ludzie podestali mi na połoninę plaster miodu. Odłamałem spory kawałek i dałem Wasylowi. Jeszcze nie zdążyłem położyć swojego kawałka na misce, odwróciłem się, Wasyl siedzi na ławce jakby nigdy nic, a po miodzie ani śladu. „A gdzie воск?” — pytam. Wasyl spojrzął w dół jakby na brzuch i odpowiedział spokojnie: „To grzech dar Boży wyrzucać!”. Wasyl i воск przełknął.

Albo prowadzący wypasy pod Czywczynem (a było to ponad sto lat temu) watah Andrij Dziubun z Dołhopola z psem Bilejem „iz za hory”, czyli z Węgiek. Andrij zawdzięczał Bilejowi ratunek przed niedźwiedziem usiłującym wdrapać się na drzewo, na które uciekł. Bilej tak skutecznie gryzł „wujka” w nogę, na której opierał się, obejmując pozostałymi kończynami drzewo, że odwrócił jego uwagę od Hucuła. Andrij nigdy tego Bilejowi nie zapomniał i traktował go z prawdziwą atencją, jako przyjaciela.

Albo stary Jurko Tkaczuk, pobereźnik<sup>27</sup> z Zielonego, chodzący z charakterystycznym, chyba dwumetrowym muszkietem, do lufy którego można było włożyć ze dwa palce.

Kresania od niepamiętnych czasów przesiąknięta na wskroś potem i lojem, błyszcząca na słońcu tłustym poblaskiem, jakby przyrośnięta do głowy. Spod ronda kapelusza wyglądają gęste, zmierzwione, ale jeszcze czarne jak skrzydło kruka kudły. Twarz okrągła, szeroka, wydatne skronie. Wąs obfity, kosmaty, podstrzyżony, przeplatany już siwizną i usmolony tabaką. Czy jeszcze żywe, ruchy, choć leniwe, to pewne i zdradzające

<sup>27</sup> Pobereźnik — gajowy, strażnik leśny.

wewnętrzny hart i siłę. Na plecach zwisa mu malowniczo krótki huculski serdak, spięty przy szyi plecionymi motuzami i zdobiony frędzlami. Kolorów na tych ozdobach można się już tylko domyślać. Przez prawe ramię przewieszona skórzana pobereżnicka dziubyna, która od czasu do czasu klepała o kieptar, gdy Tkaczuk wykonał jakiś bardziej gwałtowny ruch. Na piersi błyszczą dumnie pobereżnicka odznaka, żółta blacha z wytłoczonymi jelenimi rogami, przypięta do rzemienia dziubyny. To wszystko na Tkaczuku zdradza raczej dawne, a nie współczesne czasy. Ale najciekawsza jest oczywiście jego strzelba, a w zasadzie muszkiet, bezsprzecznie dużo starsza od niego samego. Byłby to wspaniały eksponat muzealny. Formą i rozmiarem jest jakby podobna do wyglądu samego Tkaczuka, lufa obwiązana drutem i przymocowana do drewnianego łoża. A zamek... z krzemieniem!

— Tkaczuku, to twoje państwo nie mogło zdobyć dla ciebie lepszej, nowszej strzelby?

Jakby to pytanie go nie dotyczyło, Tkaczuk szedł miarowym krokiem dalej w górę i nawet się nie odwracając, powiedział:

— U mnie, paniczu, w chacie na kółkach wiszą jeszcze dwie inne strzelby. Jedna na kapsle, druga na gotowe naboje. Ale to nowomodne, delikatne sztuki. One tylko do patrzenia, a w rękę zdaje się, że zaraz się połamią, tak jakby zrobione były z zapatek. A tę moją, paniczu, to jest co wziąć do ręki i nigdy nie pułduje.

— A próbowałeś z tamtych strzelać, może i tamte nadadzą ci się tak jak ta twoja?

— Nie, nie próbowałem i nie mogę się na to odważyć. Nie wierzę w te nowomodne strzelby. Tą moją próbuję już ze czterdzieści lat, i wiem, i czuję, co mam w rękach. A te nowomodne to niech wiszą na ścianie, tam dla nich najlepsze miejsce!

Najciekawsza jest jednak konkluzja tej rozmowy Pihulaka z Huculem: „Staął Tkaczuk, odwrócił się poważnie i popatrzył na mnie żalonym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: «Szkoda żeś panicz, a niczego nie rozumiesz»”.

## Pamiętki po rodzinie Pihulaków

Co zostało w miejscach, gdzie oczyma duszy możemy widzieć naszego bohatera? Pod Czywczynem na miejscu szałasów na Miłkowej stoją zrujnowane zabudowania z czasów kolchozowych, nad nieistniejącym jeziorem Szybene



Willa Pihulaka w Czerniowcach, w tle siedziba metropolity prawosławnego Bukowiny  
(za: [www.lvivcenter.org](http://www.lvivcenter.org))



Nagrobek Pihulaków w Czerniowcach  
i zbliżenie inskrypcji (fot. W. Staryk)

znaleźć możemy resztki haci, na której tak lubił spędzać czas bohater mojej opowieści. Znaleźć możemy także kamienie z podmurówki domu hatara, w którym Pihulak mieszkał. A może nawet zarys ganeczku, na którym przesiedywał. Stare płaje są pozarastane i częściowo nieużywane. W pamięci obecnych mieszkańców Huculszczyzny — jak się rzekło — nie przetrwało zupełnie nic.

A w Czerniowcach pozostał budynek Domu Ruskiego, zachował się także przy ul. Drahomanowa dom, który zbudował około 1900 r. i w którym mieszkał mój bohater<sup>28</sup>. Na starym Cmentarzu Ruskim w Czerniowcach w kwarterze 35 jest grób rodzinny Pihulaków. Na okazałym krzyżu wyryto nazwiska członków rodziny tam spoczywających: Adolfiny Pihulak, Ołeny Pihulak (ur. 1861), Omelana Pihulaka (1885–1935). Jest także napis upamiętniający samego Hieroteja Pihulaka.

\* \* \*

Serdecznie dziękuję za pomoc i udostępnione materiały: Wołodymyrowi Starykowi z Uniwersytetu im. J. Fed'kowycza w Czerniowcach, autorowi hasła w Wiki-

pedii, Oksanie Pokalskiej, dyrektorce Gimnazjum nr 2 w Kocmaniu, paniom z Archiwum Miejskiego w Czerniowcach, dr. Mychajle Zuszmanowi, dyrektorowi Biblioteki Uniwersyteckiej w Czerniowcach, dr. Natalii Kołesnyk z uni-

<sup>28</sup> Za czasów austriackich była to Lehmgasse 1, za czasów rumuńskich — strada Sucevei 28.

wersytetu w Czerniowcach, Wasylowi Botuszańskiemu z Czerniowiec, dr Izabeli Milcewicz z Krakowa, Wasylowi Zełenczukowi z Werchowyny, Paulowi Sirke z Wiener-Neustadt, Iwanowi Horakowi ze Lwowa i Marii Maksymiuk z Jawornika-Szybenego.